

W służbie MIŁOŚCI

Wygonili mnie z domu. Dlaczego? Przecież służyłem im wiernie przez wszystkie te lata! Dziś jestem stary i schorowany i zamiast cieszyć się pogodą mych starszych dni, ciepłym kocem i tłustym mięsem, leżę w zimnej szopie.

To prawda, urodziłem się tu, w tej drewnianej komórcie. Moje pierwsze kroki nie wiodły dalej niż wokół jej sękatych ścian, ale moja matka, która też służyła w tym domu, jak jej matka i matka jej matki, nauczyła mnie traktować to miejsce jak nasze, aż stało się nim w istocie. To przez szpary tych właśnie desek, których zapach czuję dziś znowu, a który nie opuszczał najmilszych wspomnień przez całe me życie, widziałem po raz pierwszy bogactwo pól i lasów, ludzi i zwierzęta dookoła. Jakie to smutne, że ten żywiczny, kojący dotąd zapach dziś wdziera się w me nozdrza nie wonią dzieciństwa, lecz drzazgą niespodziewanego nieszczęścia. Koiec niewinności stał się moim więzieniem, pełnym bólu o tyle silniejszego, że pochodzi z miłości, jaką nadal noszę w sobie do tych, którzy mnie wypędzili. Ta miłość, wierność i oddanie to nie służba, jak tłumaczyła mi matka, nie obowiązek czy wyczekiwanie spodziewanych korzyści, ale czysta i prosta przyjaźń, jaką każda istota powinna w sobie odczuwać w stosunku do innych, zwłaszcza bliskich. Pokochałem więc moich pracodawców od pierwszego spotkania, bez pytań i wątpliwości. Towarzyszyłem im w ich życiu w każdym jego momencie, będąc zawsze na czas w nieszczęściu, zawsze pod ręką w potrzebie, zawsze obok w radości; gnając bez tchu przez błotniste kartofliska za zgubionym bibelotem, niosąc mym ciepłym i równym oddechem ukojenie w chorobie, gdy w piecach grały świerszcze lub gdy huczał tam wesoło ogień – zawsze dawałem i odnaleźć mogłem w zamian miłe słowo wdzięczności, strawę i czułość utulenia tak bardzo podobną do przyjaźni. Tak, czułem się jednym z nich, bo i oni pokochali mnie tak, jak pokochali przedtem moją matkę i babkę. Nie byliśmy sługami. Byliśmy członkami rodziny. I było to wszystko, a nawet więcej, czego mogłem chcieć, czego nauczyła mnie matka przez całe jej życie i co powtarzała, dopóki nie zmarła. Mamo, mamusiu... przyrzekam: nie zrobiłem nic, czym mógłbym ich rozgniewać. Ty wiesz o tym, musisz wiedzieć. Więc czemu mnie wypędzili?

Zamknęli mnie w jakimś zakładzie. Podobno jestem stary i pomieszało mi się w głowie. Słyszałem, jak płaczą dzieci już tęskniące za zabawą ze mną, ale nie mogłem się z nimi pożegnać. Nie dano nam się nawet zobaczyć, choć byłem przy ich narodzinach – jedyny obcy, któremu przypadł w udziale ten zaszczyt dzielenia cudu narodzin! Te małe istotki... Ich bezbronność i nieporadność, zapach kielkującego życia, gaworzące obietnice przyszłych wielkich czynów – wszystko to stało się po części również moim udziałem. Odmłodziłem: uwierzyłem, że czeka mnie przy nich drugie, cudowne dzieciństwo. A moje było naprawdę udane. Tuż po moich narodzinach nasi pracodawcy przenieśli mnie i mamę z szopy to sutereny pod domem i mama mówiła, że to dlatego, że przyniosłem na świat wiele szczęścia. W suterenie było sucho i zawsze ciepło od stojącego tam pieca. Otrzymaliśmy w posiadanie wiele rzeczy, których państwo już nie potrzebowali, tak więc był to najlepszy czas w życiu mojej matki. Ona jednak zawsze przypominała, jaki jest prawdziwy cel naszego życia i trwania przy naszych pracodawcach: oddanie płynące z miłości, a nie z posiadania. Jej radość była o tyle wielka, o ile z każdym dniem upewniała się, że i mnie przypadł w udziale ten piękny kawałek życia. Tak naprawdę dorastałem i uczyłem się pospołu z dziećmi naszych pracodawców. Dzieliliśmy ze sobą każdą chwilę naszego życia. Nie zliczę już dni ani nawet lat pełnych siana pachnącego słońcem, wiatru słodkiego od soczystych gruszek, iskrzących mrozem zim umilanych tłustą strawą, wśród śpiewów, tańca i muzyki ani wiosen huczących bzyčeniem wesołych pszczoł w pasiece za domem. Powtarzałem w myślach słowa matki: służąc – nie jestem sługą, lecz bratem niosącym pomoc w potrzebie. I tak samo traktowano mnie. Gdy leżałem chory, przynoszono mi wodę, zanim matka zdążyła się o to upomnieć, opatrywano mi rany, gdy kaleczyłem się w zabawie, czy na polowaniu. Zresztą, czyż nie było szczytem zaufania i przyjaźni, że to nas właśnie pozostawiano, by pilnować domostwa, kiedy państwo wybierali się gdzieś dalej, do miasta, czy do rodziny za lasem? Tak oto dorosłem w domu pełnym zaufania i miłości. Teraz jednak tkwię samotny w jakimś zakładzie...

Zostałem skazany na śmierć. Podobno przez moją chorobę stałem się niebezpieczny. Moi państwo nie chcą się ze mną widzieć. Nie chcą mi nic wyjaśnić. Lekarze mówią, że to ze strachu przede mną. Przede mną?! Matko, czy ty to rozumiesz? Uspokajają mnie, że umrę szybko i bezboleśnie. Bezboleśnie! Umrzeć bezboleśnie to jakby żyć bez przyjemności, jak chorować miło, jak tęsknić wesoło, jak nienawidzić... kochając.

Matko, czemu cię tu nie ma. Choć jestem już stary, przywołuję cię, bo cię potrzebuję. Bardzo. Pomóż mi zrozumieć tych ludzi, tych wspaniałych, kochających ludzi, którzy nagle mnie nie potrzebują i boją się. Czemu mnie tak krzywdzą? Krzywdzą wielokrotnie bardziej nie tym więzieniem, czy nawet nadchodzącą śmiercią, którą mi zgotowali, lecz tym przerwaniem nagle strumienia miłości, bez którego dopływu uschnąć może nawet największe jezioro uczucia. A ja ich wciąż kocham, mam, słyszysz? Nie umiem inaczej. W swoim życiu przeżyłem wiele niezapomnianych chwil, a teraz mam zapomnieć je w jednej chwili? O, nie! Kiedy zmoła mnie choroba, nie nalegano, bym nadal sprawował swoje obowiązki. Opiekowano się mną, jak swoim. Dano mi spokój, oddano cichy zakątek domu w samodzielne władanie mojej wdzięczności i cichej zadumy. Przywoływałem w milczącym zachwycie wszystkie chwile mego życia. W marzeniach biegałem wraz z dziećmi, choć od wielu miesięcy nie mogłem już chodzić. Dni mijały mi na niemym uwielbieniu ich ciągłej krzątaniny i podziwianiu, jak słońce i wiatr tkają sieć pamięci. Pełne bólu noce łamały mi serce wspomnieniami minionych lat, które zdawały się przepływać raz leniwie, jak letnie chmury, to znów gasły nagle, jak spadające gwiazdy. Zamknąłem to wszystko w sobie. Przeczując swój koniec, żałowałem jedynie, że już w żaden sposób nie mogę służyć moim kochanym bliskim. Moja starość i bezsilność wywoływały we mnie ataki rozpacz i złości na

samego siebie. Choroba postępowała, tkwiła we mnie, wbijała się coraz głębiej w kości, przyćmiewała słońce dnia i śmiech rodziny. Aż któregoś dnia, zamknięty w tej dręczącej pustelni wspomnień i rozmyślań, smutny, niczym topniejący śnieg, nie zauważyłem, jak najmłodsze z dzieci zakradło się, żeby mnie dotknąć i przytulić. Przestraszyłem się. Nie wiem czego. Wyrwany z półsnu, rozdierany miłością do życia i niemocą radowania się nim, zaskoczony pojawieniem się tego ukochanego również przeze mnie dziecka, a mimo to kierowany obronnym instynktem, rzuciłem się na nie z charczeniem w gardle i przydusiłem do podłogi. A gdy dziecko wybuchło płaczem, jakiego jeszcze nigdy nie słyszałem, kiedy tak leżało sparaliżowane strachem, bez najmniejszego ruchu pod moim trzęsącym się ze starości i przerażenia ciałem, nie umiałem zrobić nic. Nic. Moja reakcja, całe zająście, płaczące dziecko, ja na nim – wszystko to odebrało mi jakąkolwiek możliwość działania. Aż przybiegli zwabieni hałasem rodzice. Pan kopniakiem odrzucił mnie w kąt pokoju. Pani zaczęła histerycznie oglądać dziecko tak, jakby szukała ran. Ran! Tak, jakbym był w stanie skrzywdzić to małe dziecko, skrzywdzić kogokolwiek! Potem pamiętam już tylko zapłakaną twarz dziecka i kij zbliżający się ze świstem do mojej głowy.

Obudziłem się w zimnej szopie.

Przewieziono mnie do zakładu.

Skazano na śmierć.

Nikt nie przyszedł się ze mną pożegnać. Mimo całej miłości, którą nasze rodziny darzyły się przez tyle pokoleń. Dlatego mówię do ciebie, mam, milczę właśnie do ciebie, ty jedna mi zostałaś. Odbierając mi możliwość służby, odebrano możliwość kochania. Odebrano mi zatem wszystko. Dlaczego? Czy tylko dlatego, że jestem psem?

Tomek Włodarski
Haga, 8.2.2006

